

Ten ciężki wiosenny dzień wybijał już na szczęście ostatnie minuty swojego istnienia. Leżałem właśnie bezwładnie na mokrej od rosy trawie, a moje myśli płynęły swobodnie w nieokreślonej przestrzeni. Wczoraj powiedziałbym, że nikt normalny nie leżałby sam w środku lasu po zachodzie słońca. Powiedziałbym również, że jestem normalny, a teraz te słowa mogłyby tylko zniknąć razem z marzeniami, które niedawno wydawały się realne. Przecież zwrot „żyli długo i szczęśliwie” budzi automatyczne skojarzenia z bajką, więc jakim prawem chciałem używać go w rzeczywistości? Jej kolega ze studiów po prostu postanowił skończyć imprezowy tryb życia, a moje wszystkie cnoty okazały się niewystarczające w konfrontacji z jego lekkodusznością, która poprawiała jej humor. Korony drzew zasłaniały mi większą część nocnego nieba, ale byłem w stanie dojrzeć pojedyncze gwiazdy. To do nich zanosłem cichą modlitwę, gdy nagle poczułem czyjąś obecność i nie chodziło tu o mrówki, które od dłuższego czasu zwiedzały moje ciało. Błyskawicznie usiadłem, zaczynając się nerwowo rozglądać. Jakiś biały kształt zaczął wychodzić z ciemności po mojej prawej stronie. Odgłosy wskazywały raczej na niewielkie zwierzę, więc nie czułem strachu. Teraz wydaje mi się, że przestraszyłem się wtedy każdego żywego stworzenia. Ten mały baranek nie mógł być prawdziwy. Zatrzymał się jakieś pół metra ode mnie. Miałem czas żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Z pewnością nie był to pies, ani żadne inne białe zwierze. Szybko uznałem, że to nie sen i zacząłem zastanawiać się, co takie maleństwo mogło robić w środku nizinnego lasu. Niestety nie udało mi się wysunąć żadnych wniosków. Chyba sprawiła to biała koperta, którą dojrzałem przed barankiem. Zwierze stało nieruchomo i patrzyło na mnie, jakby czekając aż sięgnę po ten kawałek papieru i zrobiłem to. Zrodził się we mnie wtedy nieokreślony strach przed Bogiem. Trzymana przeze mnie koperta była zapieczętowana. Nie wiedziałem czy zerwać pieczęć, więc zastygłem przez chwilę w bezruchu. Baranek spoglądał teraz na mnie i zdawało mi się, że czeka aż rozerwę kopertę. Niestety tutaj kończy się moja opowieść. Spotkała mnie nagła utrata świadomości i pobudka o świcie. Nie obudziłem się jednak w mieszkaniu, lecz w środku lasu, a baranek ciągle wydawał mi się bardziej wspomnieniem, niż snem. Obolałe ciało nie wypoczęło po niewygodnej nocy, ale szybko zrzuciłem z siebie wszystkie robaki i liście, po czym ruszyłem z powrotem do domu. Nienawidziłem tego mieszkania. Kojarzyło mi się jedynie z byłą partnerką, która potraktowała mnie... Nie warto do tego wracać. Na szczęście ta nieplanowana drzemka nie skończyła się stratą portfela, z którego wyciągnąłem teraz klucze. Telefon również był na swoim miejscu, co odkryłem, gdy jego głośnik poinformował mnie o przychodzącym połączeniu.

- Słucham - odebrałem mechanicznie, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni. Popełniłem błąd.
- Dzień dobry panie Andrzeju - odezwał się lodowaty głos. - Mam nadzieję, że sensownie usprawiedliwi pan swoją dzisiejszą nieobecność w pracy - słowa te walnęły mnie mocniej niż zawodowy bokser i rozłączyłem się. To był dopiero trzeci dzień nowej roboty. Mój zegarek wskazywał godzinę dziewiątą trzydzieści, a w biurze powinienem być od siódmej pięćdziesiąt.. Może szef zrozumiałby, że miałem ciężką noc po stracie ukochanej kobiety, ale głowę zaprzętał mi teraz tylko mały baranek, o którym nie mogłem nikomu powiedzieć, bo niezbyt interesowało mnie skierowanie do psychiatry. Postanowiłem w spokoju to przemyśleć, a inne problemy pozostawić na potem. Szybko minąłem kilkanaście betonowych budynków i drżącą dłonią otworzyłem drzwi, za którymi czekała mnie droga na trzecie piętro. Tam właśnie znajdowała się wykupiona przeze mnie własność spółdzielni mieszkaniowej z numerem jedenastym. Przedpokój, jak zwykle był przeraźliwie pusty. Zdjąłem buty na szarej szmacie i ruszyłem w stronę łóżka, nie przejmując się brudnym ubraniem. Położyłem się na plecach i z zamkniętymi oczami spróbowałem przeanalizować dziwną noc w lesie. Wcześniej wyciągnąłem jeszcze spod pleców pilot, którym każdego wieczoru przetaczałem obrazy na

dwudziestocalowym ekranie telewizora. Jakie informacje mogła zawierać zapieczętowana koperta leżąca przed barankiem? Czy to naprawdę nie był sen? Sensownie myśli nie chciały przyjść, więc otworzyłem oczy i przez chwilę skupiłem wzrok na lekko żółtawych kasetonach. Bezmyślne leżenie straciło urok, gdy przypomniałem sobie o problemie z pracą. Bez zastanowienia sięgnąłem po pilot i włączyłem wiadomości. Niemalże cały dzień media relacjonowały wydarzenia z Rosji, a dokładniej z jej nowej części, która niedawno nazywała się Gruzją. Stany Zjednoczone mocno krytykowały to posunięcie i wydawało się, że wojna jest kwestią czasu. Stanowiska w tej sprawie nie podjęła jeszcze Unia Europejska, ale najprawdopodobniej stanie po stronie U.S.A, a wtedy Amerykanie zaczną ofensywę. Młoda prezenterka ze strachem w oczach mówiła o zbliżającej się trzeciej wojnie światowej, a ja ujrzałem oczami wyobraźni ognistego konia, którego jeździec wydawał się zbudowany z energii, jaka tworzy się przy eksplozji atomowej. Coś mnie jakby olśniło. Szybko wyłączyłem telewizor i uświadomiłem sobie, że baranek był tym, który miał zapowiedzieć koniec świata. Zerwałem się z łóżka i postanowiłem wrócić do lasu. Bardziej chyba pasowałoby stwierdzenie, że jakaś dziwna siła postanowiła to za mnie, ale nie powód tylko cel powrotu miał teraz nadrzędne znaczenie. Zapomniałem zamknąć drzwi z mieszkania. W tamtym momencie żadne przyziemne sprawy mnie nie interesowały. Powoli zszedłem po schodach. Lekko przestraszyłem się jakiegoś żebraka, który majstrował przy domofonie. Był to pierwszy żywy człowiek, jakiego zobaczyłem tego dnia.

- Może ma pan jakieś drobne? - Zapytał słabym głosem i zwrócił w moją stronę długo niegoloną twarz. Problemy życiowe i nadużywany alkohol pewnie dodawały mu sporo lat, więc trudno było ocenić wiek. Automatyczne nadanie etykiety menela i nieudacznika również przeszkadzało w trzeźwej ocenie, lecz nie miało to teraz znaczenia. Gdyby ktoś spytał mnie chwilę po spotkaniu o wygląd żebraka, to odpowiedziałbym, że nie pamiętam.

- Nie mam - odrzekłem szorstko i ruszyłem przed siebie. Zdziwiłem się zachowaniem mężczyzny, który zaczął iść za mną zamiast rzucić się w stronę otwartych drzwi. Skoro stał przy domofonie, to przecież musiał chcieć iść do góry!

- Co minutę z głodu umiera pięćdziesiąt osób, a ty chcesz jeszcze powiększyć tę liczbę?! - krzyknął żałośnie i zatrzymał się, gdy miałem przechodzić na drugą stronę ulicy. Chciałem dać mu parę złotych, ale zorientowałem się, że nie mam przy sobie portfela, więc w ciszy kontynuowałem marsz. Dziwił mnie kompletny brak samochodów. Nawet znudzone staruszki nie wychylały swoich głów z okien, choć pogoda była naprawdę ładna. Przestałem się tym jednak interesować w momencie, gdy pierwsze drzewa przywitały mnie na przedmieściach. Czułem, że jakiś nieokreślony cel jest coraz bliżej. W końcu go ujrzałem. Niewielki kopiec wznosił się między wysoką topolą a rozłożystym dębem. Wcześniej z pewnością go tu nie było, ponieważ tą samą ścieżką wracałem rano. Podszedłem do niego wolnym krokiem i nagle serce podskoczyło mi niemalże do gardła. Z bliska wyglądało to jak zasypane ciało; jakiś prymitywny grób. Mój strach wzbudziło jednak, co innego. Można powiedzieć, że ktoś po prostu nagryzmołił z nudów kilka kresek na miękkiej ziemi, ale pozostawało pytanie - dlaczego to układało się w litery?

- Andrzej Stachowski - przeczytałem na głos, a zimne dreszcze zaczęły przechadzać się po moim ciele.

- Właśnie skończyłem zakopywać - odezwał się głos z mojej prawej strony. Błyskawicznie odskoczyłem w lewo i spojrzałem na właściciela tego głosu. Gdyby ktoś spytał mnie o wygląd żebraka po tym spotkaniu, to z pewnością opisałbym go dokładnie. W zielonych oczach ujrzałem niezwykłą głębie, a zmarszczona twarz w większości była schowana za siwą brodą. Dziury w dżinsach niewiele miały wspólnego z modą. Nie miałem odwagi dalej mu się

przyglądać, bo brudne dłonie zaciśnięte były na łopacie, która mogła szybko pozbawić mnie przytomności. Oddaliłem się o parę kroków w tył.

- Co ja mam z tobą zrobić? - zapytał jakimś dziwnym tonem, który wyrażał jakby troskę i współczucie.

- Zostaw mnie w spokoju - odrzekłem po cichu, a on się zaśmiał.

- Nie wierzysz w Boga? - jego wzburzony ton sprawił, że poczułem dziwny wstyd. Nie czekał na odpowiedź.

- Ten świat jest tylko złudzeniem miejsca, w którym żyłeś. Oprócz nas nie ma tu żadnych żywych istot.

- Jak się tu dostałem? - zapytałem łamliwym głosem, choć nie wierzyłem w jego słowa.

- Powiesiłeś się po śmierci żony - rzekł sucho starzec. Zastanawianie się nad prawdą tego stwierdzenia nie miało sensu, ponieważ niebo zaczęło przybierać nagle purpurowy kolor, a drzewa z ogromnym trzaskiem wystrzeliwały w górę wraz z korzeniami. Wokoło widziałem tylko tumany ziemi i kurzu. Starzec zbliżył się i złapał mnie za dłoń. Nie bał się, że wpadnę w jakiś dół. Ziemia była równa i twarda. Żadnego śladu po lesie. Żadnego śladu po jakimkolwiek otoczeniu.

- Jeźdźcy apokalipsy mają sprowadzać do mnie tych, którzy zasłużyli na niebo, lub stracili na nie szansę. Czasem zdarza się, że niektórzy są naprawdę blisko zbawienia, więc wysyłam ich tylko na chwilę, żeby uszlachetnić cierpieniem serca matek, które tracą dzieci jeszcze przed porodem. Wiele osób jest nieco dalej, a wtedy zbawiam ich poprzez nieco większe dawki bólu. Nie pojmują tego, bo nie pamiętają swoich poprzednich wcieleń.

A żli? Pomyślałem, ale wiedziałem, że on widzi moje myśli. Czekałem na odpowiedź.

- Niespełnieni powracają w nowych wcieleniach aż zasłużą na zbawienie. Czasem zdarzają się naprawdę ohydne przypadki i muszę karać ich umysłowym kalectwem żeby wyplewić z duszy zło i zafundować im drogę do nieba - głos nie wydobywał się z jego ust, ale słyszałem go całym sobą.

- Jezus umarł za wasze grzechy. Jeśli by tego nie zrobił, to twoja dusza już dawno pogrążyłaby się w otchłani niebytu razem z większością ludzi - tym razem odpowiedział jeszcze zanim uświadomiłem sobie pytanie. Stałem właśnie przed sądem ostatecznym i ze wstydem musiałem przyznać, że zniszczyłem dar boży przez samolubną chęć posiadania innego człowieka. Może w nowym życiu uda mi się nie wyprzedzić śmierci, a apokalipsa dopadnie mnie, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. Mogłem jeszcze zapytać czy nastąpi kiedyś całkowity kres wszystkiego, ale wydaje mi się, że każdy żyje w jakimś wewnętrznym świetle i to on jest wyznacznikiem największego końca, a Bóg nigdy nie zniszczy swojej planety, jeśli nie zrobią tego jej mieszkańcy. Nie miałem czasu na dłuższe przemyślenia, ponieważ nastąpiło właśnie zapłodnienie, a moja dusza zrodziła się na nowo w skażonym genetycznymi wadami ciele.